

5. GORZKIE ŻALE.

Lwów, 16 lutego 1907.

Minął karnawał, jak sen złoty...

Ze wszystkich miast polskich Lwów bawił się najlepiej. Miasto najbardziej demokratyczne najwięcej wydało balów i to nie byle jakich — były to bale publiczne, w salach dekorowanych, strojne, a na każdym stawało do tańca od stu do dwustu par. Zakasowaliśmy Warszawę, cóż mówić o Krakowie lub Poznaniu!

Dawniej i dziś! Bawiono się tak tłumnie dawniej w salonach królewskich i magnackich, a dziś to wszystko się uspołeczniło. Te sfery, które o balach tylko ze słyszenia wiedziały, a same zadawały się wieczorkami w ośm par w saloniku na imieniny, dziś urządzają wersalskie przyjęcia karnawałowe, na jakieby się magnat może już nie zdobył. Oto bale: Rymanowski, Akademicki, Lekarski, Prasowy itp.

O ciągłości historycznej obyczajów karnawało-

wych świadczy w Galicji tylko instytucja obrzędowa »protektorów balu«. Jak chłopci zapraszają na wesele dziedzica, tak my oddajemy berło gospodarzy przedstawicielom dawnych rodów arystokratycznych, aby nam, jako doświadczeni w rzeczach zabawy, patronowali w działalności na tak ślizkiem polu, jak posadzka balowa. Ten obrzęd kapłański patronatu, polegający na symbolicznem odtańczeniu przez hrabinę i hrabiego poloneza w pierwszej parze — to szacowny zabytek czasów patryarchalnych, arką przymierza między starymi a nowymi laty, — jedyny szczątek dawnego przywileju balowania, dzisiaj zniesionego.

Po za tem ani śladu przywileju. Zabawa stała się funkcją społeczną, jak i praca; te same instytucje, które przez cały rok orzą w ludzi na niwie społecznej, w karnawale urządzają dla nich bale. Szczęśliwe połączenie »*utile dulci*«. Z jednej strony bal, przysparzając dochodu na cele instytucji, umożliwia dalszą pracę, a z drugiej jest dla obywateli zasłużoną za trudy, troski i ofiary — nagrodą. Pierwiastek nagrody w karnawale musi przemagać — i tego nie można mieć za złe. Nawet bal karawaniarzy byłby zupełnie prawowity — ludzie powinni się bawić wesoło. Zwłaszcza taniec jest zabawą odmładzającą.

Ale z powodu tych zabaw uderzyła mnie jedna rzecz, mianowicie, że nasz taniec dziwnie błędne koło zatacza. Jowialski nie połapałby się.

Dawniej mówiono: »Chociaż bieda w kamienicy, ale hasa na ulicy«, »Choć bieda — to hoc«. I to prawda realna: taniec zagłusza biedę. Zmysł praktyczny społeczników potrafił jednak spożytkować ten popęd ludzki i opodatkowano taniec. Niech mniejsza bieda tańczy na większą; w ten sposób przysłowia się przekształciły: »Ponieważ bieda w kamienicy, więc się tańczy na ulicy«; »Ponieważ bieda — to hoc«. Istny karuzel: bieda biedę pogania.

Wynalazek wcale sprytny. W ten sposób można z pewną korzyścią opodatkować taniec na rzecz potrzeb społecznych. Ale we Lwowie tym aspiracjom społecznym staje na drodze przeszkoda natury ekonomicznej: drożyzna.

Od ludzi, którzy chcą się zabawić, ściągają się znaczny podatek, za wielki, jak na ich zamożność, a przecież za te pieniądze, nie można urządzić skromnej zabawy i odłożyć z nich, ileby należało, na cel dobroczynny. Nie jesteśmy ekonomicznie przystosowani do potrzeb społecznych. To, co się robi w karnawale, to ilustracja stosunków, przez cały rok panujących. Są to wysiłki nad stan. Trudno uwierzyć, że koszt urządzić jednej zabawy na cel dobroczynny sięgały tego roku do 5000 koron i że niektóre zabawy, pomimo niezwykłego powodzenia, przynosiły gospodarzom deficyt.

Lwów jest miastem bardzo drogiem. Jeśli chodzi o jaki taki komfort i zbytek, to napewno tyle

one kosztują, co w jakichś stacjach kolonialnych w Afryce lub Azji, gdy zamożniejsi Europejczycy chcą się zabawić lub zażyć niezwykłej dla tubylców wygody. Ale zbytek zaczyna się we Lwowie od mięsa i węgla, a komfort od mieszkania. My tu na codzień płacimy swój »*standard of life*« sumy takie, jak ambasadrowie w krajach zamorskich. Cóż dopiero, gdy wypadnie zabawę urządzić! Za wynajęcie sali płaci się we Lwowie na jeden wieczór około tysiąca koron! A te sale znamy: uprzywilejowana we Lwowie sala balowa — to brudna i cuchnąca, jak stajnia, rudera, w jakiej gdzieindziej urządzałoby się najwyżej polityczne zebrania ludowe.

Miasto nasze nie dostosowało się jeszcze do potrzeb wielkomiejskich nawet w życiu codziennem. Biedne jest — nie może się zdobyć na lokale publiczne. A wymagania wciąż rosną, na każdym kroku zaskakują gospodarzy, tańczących w błędnem kole potrzeb i środków — niestety tańczących zbyt długo w jednym miejscu, jak we śnie.

— — — — —

Kiedyż mówić sobie gorzką prawdę, jeśli nie w popielec? Dr. Stanisław Grabski właśnie w tym dniu pisał swój artykuł o naszym »Bogactwie« narodowem, wydrukowany w numerze czwartkowym »Słowa Polskiego«. Napisał prawdę bez ogródek, wprost, szczerze, ale co ważniejsza — napi-

sał prawdę istotną. Bieda — oto wspólny mianownik spraw naszych w Galicji.

Bardzo trafne jest spostrzeżenie autora, że nie lubimy wyrazu tego wymawiać publicznie. Są prawdy — mówił Mickiewicz — które mędrzec zwierza tylko przyjaciółom domu, są takie, których odkryć nie może nikomu. Ale ta nasza dyskrekcja nie tyle z mądrości płynie, ile ze słabości ducha, lub poprostu z niewiedomości. Do chronicznego bólu można przywyknąć, cóż dopiero do biedy, która jest stałą naszą atmosferą. Nie bierze się na rozum teoretyczny tego, co jest żywiołem życia, jego prawem.

Atmosfera biedy skrapla się w nastroju powszednim w smutek; żywszy temperament, smutkiem zatruty, wydaje z siebie niekiedy Galgenhumor — humor szubieniczny; a charakter się łamie, gdy uciskowi biedy towarzyszy pojęcie nieuniknionego fatalizmu. Kończy się wtedy na życiu i czynie szubienicznym. A to gorzej. Nic tak nie demoralizuje, jak bierny do stałego ucisku stosunek. Człowiek wychodzi cało moralnie, gdy biedzie przeciwstawi wolę swoją, gdy upatrzy sposób wyjścia i postanowi ją zwalczyć.

Nie moje tu zadanie wskazywać drogi wyjścia, rzecz to ekonomistów; jako feljetonista muszę szukać wyjaśnień wewnętrznego związku, jaki zachodzi między wydarzeniami dnia. Ze zdarzeń tych jedne — jaskrawsze — notują się w kronikach, ale większość mija, niepostrzeżenie w szarem pod-

ścielisku powszedniości. Wypadki jaskrawe frapują, pamięta się je nieraz lata, ale zwykle w korzeniu nie różnią się one naturą swoją od tysiąca fakcików, z których życie układa szary, pospolity deseń stałych stosunków, obyczaju i nałogów.

Mnie uderza u nas nie tyle bieda we wszystkich dziedzinach, ile życie się z nią ludzi. Bieda uczy rozumu, ale nie wtedy, gdy przechodzi w system ogólny — wówczas rodzi apatię. I sądzę, że nie mówimy publicznie o biedzie, bo za słabi jesteśmy duchem — straciliśmy wiarę w swoje siły, a do tego przykro się przyznać; czekamy cudu i łudzimy się. Zmogła nas niedola, zanim dojrzeliliśmy do walki. Nurtuje w nas głuche poczucie słabości. I to jest nasza mądrość, dla której prawdy nagiej nie zwierzamy nikomu.

Zdobędą się na nią ci, co poczują w sobie przypływ sił. My ją powiedzieć mamy odwagę. Szczepanowski rzucił ją nie z pesymizmu, ale właśnie, że wezbrał w nim optymizm co do swoich sił własnych. Sądził, że zło pokona — brał siły na zamiary — romantyk zbyt odosobniony. Nie przyszedł był jeszcze czas, aby prawdę o biedzie mędrzec mógł »szepać narodowi«.

Z drugiej strony ci, co publicznie nie chcą prawdy demaskować, działają nieraz z pedagogicznego wyrachowania, aby nie przygnębiać wątpliwego społeczeństwa. Tak krzepi się chorych — sugestją.

— — — — —

A przytem w Galicji — jeśli chodzi o rozbudzenie ruchu umysłowego w sprawach ekonomicznych — niema tak bardzo z kim wieść dyskusji. Nie dziwię się, że u nas niema towarzystw naukowych ekonomicznych, ani instytucji odpowiednich, nawet czasopism. Są zawodowe, praktyczne dla ludu, ale »Ekonomista« wychodzi w Warszawie. Sfery oświecone w Galicji nie dorabiają się, nie wytwarzają bogactw. Jedni dziedziczą, rozdabiają, tracą; inni, a tych większość, idą na utrzymanie skarbu, jako urzędnicy. Pozycję życiową określa miejsce w szematyzmie; ta księga jest źródłem mądrości ekonomicznej. Nasza myśl ekonomiczna pozbawiona jest zgoła kultury, nie umiemy wprost myśleć o zadaniach twórczych i wytwórczych.

Namiestnik hr. Potocki w mowie, wygłoszonej w ubiegły czwartek na otwarciu sesji sejmowej, był publicystą, gdy ubolewając nad przepełnieniem gimnazjów klasycznych, wskazał chorobę społeczną: posadomanję. Liczba wychowalców szkół realnych nie rośnie, ale zmniejsza się. Wszyscy dążą do zajęć biurowych przez gimnazja; do zajęć w przemyśle i handlu nikt się nie garnie. Ileż to biadań słyszymy codziennie we wszystkich gałęziach pracy wytwórczej: skąd wziąć ludzi? Istna pustynia! Co tylko kraj wyprodukuje inteligencji, wszystko to siedzi przy biurkach, nic nie zostaje do pracy samostojnej. To, co ze szkół odpada i w biurach się

nie zmieści, to włóczy się po świecie — bezradne, nic nie umiejące, nie przydatne do niczego, jak tylko do żebractwa i synekur.

Do zajęć odpowiedzialnych sprowadzać trzeba ludzi z zagranicy i z za kordonu. A próby zawracania młodych ludzi od posad rządowych na pole pracy naukowej, literackiej, dziennikarskiej, gospodarczej, przemysłowej, handlowej są bezskuteczne. Czasami chciałoby się z rozpaczy wszcząć akcję w celu namówienia rządu, aby zniósł emerytury. Wtedy może zraziliby się ludzie do zajęć biurowych i zaczęliby pracować samodzielnie.

Społeczeństwo nasze jest wyssane przez maszynę biurokratyczną. Bieda ekonomiczna, stąd płynąca, to nie tylko kwestja uposażenia urzędników, ale więcej: to kwestja wyczerpania społeczeństwa z sił twórczych. Potrzeby społeczne wciąż rosną i komplikują się, a niema komu zająć się nimi.

Jesteśmy najbiedniejszym ze społeczeństw nie dlatego, że brak nam pieniędzy, ale że ludzi nie mamy.
